Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

ukazuje się z „Nowinami Rzeszowskimi"

Nr 11 (233)
Rok VI
20 III 1966 r.

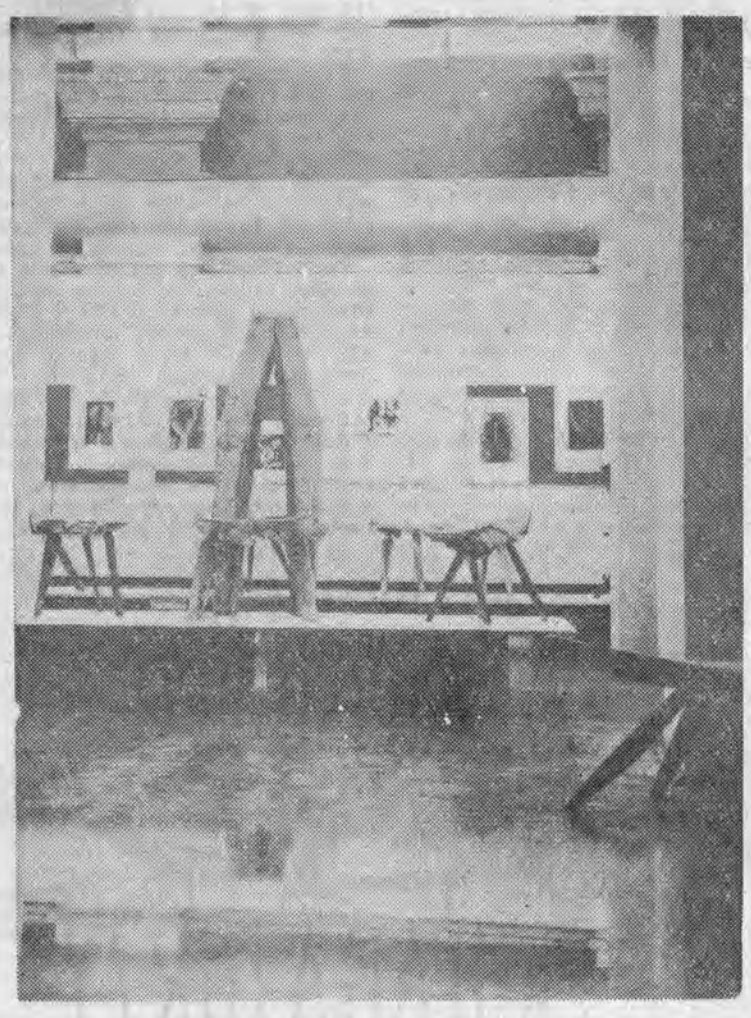

EKSPOZYCJA WYSTAWY RZEŹBY I GRAFIKI W DOMU SZTUKI W RZESZOWIE

JAN GRYGIEL

PRZECIW ŻYWIOŁOWOŚCI W REGIONALNYM RUCHU WYDAWNICZYM

Obok „oficjalnej" i niejako profesjonalnej działalności wydawniczej w Polsce istnieje również partykularna i „amatorska". Pierwsza jest uprawiana przez specjalnie do tego celu powołane przedsiębiorstwa państwowe lub spółdzielcze i ma zasięg ogólnopolski. Jej wytwory są dostępne w każdej księgarni w kraju, można w prasie czytać o nich informacje i recenzje, mają po prostu jawny obieg. Drugi nurt w produkcji edytorskiej ma charakter „podziemny", prawie konspiracyjny — wydawnictwa tego nurtu krążą niewiadomymi przeciętnemu czytelnikowi drogami. Nawet gdy się dowie, że ukazała się interesująca go publikacja nie może do niej dotrzeć. Myślę tu o najrozmaitszych wydawnictwach regionalnych, o działalności wydawniczej zakładów pracy, regionalnych towarzystw naukowych czy prezydiów rad narodowych.

Ostatnio z okazji niedawno minionego jubileuszu Polski Ludowej i trwających obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego w każdym województwie, a nawet w powiatach bardzo wzrosła aktywność w tej dziedzinie wszystkich wymienionych placówek i instytucji. Tak dzieje się również w województwie rzeszowskim. Wydawano jubileuszowe monografie zakładów pracy — „Autosanu", kopalni siarki, Miastoprojektu — ukazują się roczniki towarzystw naukowych w Rzeszowie, Przemyślu i Jarosławiu, zarysy monografii historycznych miast, np. Jasła, Sanoka, Haczowa, Brzozowa, broszury okolicznościowe i jubileuszowe z zakresu szpitalnictwa, kultury czy oświaty itp. Oczywiście nie jest to zjawisko negatywne — sam kiedyś walczyłem w jednym z felietonów o umożliwienie działalności wydawniczej na prowincji dla uaktywnienia pracy amatorów naukowców, regionalistów i przyczynkarzy — pracy, która się liczy w ogólnonarodowym dorobku nauki. Ale amatorska działalność wydawnicza toczy się obecnie zbyt żywiołowo, brak jej uporządkowania i ładu. Obok wielu cennych wydawnictw o nieprzymijającej wartości, które ukazały się dzięki tej decen-

tralizacji w polityce wydawniczej jest także sporo broszurek lub okolicznościowych, drewnianych sprawozdań i referatów wydanych w formie książki ku większej chwale instytucji, zakładu pracy lub placówki. Książki, która nie interesuje nikogo prócz ludzi publikujących w niej swoje prace lub wymienionych w tychże pracach.

Bądźmy konkretni. Z całym uznaniem należy wymienić z tego rodzaju produkcji wydawniczej „Studia z dziejów Jasła i powiatu jasielskiego", ostatni „Rocznik Przemyski", monografię Brzozowa, monografię „Zamek w Łańcucie". Mniej entuzjazmu budzi ostatni „Rocznik Rzeszowski" ze względu na bardzo nierówny poziom prac i zbyt referatowo-urzędowy ton, lecz i on przynosi dużo cennego materiału. Natomiast trudno zrozumieć konieczność wydawania takich pozycji jak album „Miastoprojekt w służbie ziemi rzeszowskiej", jak okolicznościowe broszury z okazji jubileuszu szpitala, fabryki czy spółdzielni. Nie wymieniam tu wydawnictw, które wprawdzie opracowywano własnymi siłami, po dyletancku nieraz, ale z wielką pasją i zaangażowaniem w poszczególnych powiatach, lecz które później wydały wydawnictwa państwowe w swoim normalnym planie wydawniczym. Tu już wydawnictwo gwarantowało ich poziom i jakość edytorską. A takich było u nas równie dużo.

Ale sprawa poziomu i społecznej przydatności określonej inicjatywy wydawniczej to dopiero połowa zagadnienia „amatorskiego" ruchu wydawniczego. Istnieje jeszcze problem obiegu tych periodyków, książek i broszur. Niesłychanie rzadko można je nabywać w księgarniach lub punktach sprzedaży „Ruchu". Najczęściej kolportuje się je jakimiś wewnętrznymi kanałami poza plecami przeciętnego odbiorcy książki. Czyżby procent, który potrąca Dom Książki za rozprowadzenie wydawnictwa był straszakiem zniechęcającym do współpracy? W efekcie — sterty nierozprzedanych broszur butwieją często w magazynach lub szafach dopóki się gruntownie nie zdezaktualizują. Gdzie np. można nabyć „Rocznik Rzeszowski" lub książkę „Rzeszów w dwudziestoleciu"? Gdzie „Rocznik Przemyski" lub jarosławski? Nie było w normalnej księgarskiej sprzedaży Rocznika Sanockiego czy monografii Brzozowa, nie ma wielu rozprawek, broszur i ksiąg pamiątkowych. A przecież wielu z nas chciałoby mieć obfitą biblioteczkę resovianów w domu. Paradoks sytuacji polega na tym, iż wydawcy pragną publikować często informacje o takich wydawnictwach w prasie, lecz nawet egzemplarzy recenzyjnych nie przysyłają do redakcji. I gdzież później czytelnicy recenzji znajdą omawianą książkę? Jeśli już coś się publikuje to nie należy czynić tego w jakiejś osobliwej konspiracji — chyba że owoc wysiłku nie usprawiedliwia wkładu finansowego.

Dodajmy, iż często żerują na takich dzikich inicjatywach wydawniczych „zawodowi chałturzyści", którzy za niezupełnie skromne wynagrodzenie podejmują się książkę czy album redagować, nie posiadając w tym kierunku absolutnie żadnych uprawnień oprócz chęci zarobku. „Redaktorzy" żyjący z wędrówek po województwie i naciągający zakłady pracy i prezydia rad narodowych na akcję wydawniczą jednodniówek, albumów i broszur okolicznościowych. Ci mogą mieć powody do unikania rozgłosu.

Jak już wspomniałem, regionalny ruch wydawniczy przynosi ogromne korzyści — pobudza patriotyzm lokalny i zainteresowania swoimi najbliższymi stronami, a to stanowi trwałą podstawę związku z narodem i jego dziejami. Należy więc przeciwdziałać wyrodnieniu tego wartościowego zjawiska. Sądzę, że w jakimś stopniu można by przezwyciężyć niedowład organizacyjny i żywiołowość na tym polu przez powołanie wojewódzkiej komisji opiniującej i koordynującej wszystkie inicjatywy wydawnicze na swoim terenie. Komisja taka czy rada stwierdzałaby społeczną, artystyczną czy naukową użyteczność wydawnictwa, dawałaby priorytet szczególnie cennym i nie dopuszczała do ukazywania się publikacji zbędnych czy kompromitujących. Istnieje projekt powołania w Rzeszowie podobnej rady wydawniczej, czekający na zatwierdzenie uchwałą Prez. WRN. Wprawdzie największe nasilenie regionalnych akcji wydawniczych już mija i warto było wcześniej o takiej radzie pomyśleć, ale lepiej późno niż nigdy. Rada wydawnicza winna również uporządkować sprawy dystrybucji wydawnictw — zadecydować, które pozycje można rozprowadzać poza rynkiem księgarskim (bo może to czasem mieć uzasadnienie), a które należy kolportować publicznie. Powinni z nią współpracować konsultanci specjaliści — oceniający merytoryczną wartość rękopisów przed oddaniem do druku. Powie ktoś, że zezwoleń na edycję książkową udziela Departament Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki, po co więc powoływać do spraw wydawniczych jeszcze jedną komórkę. Wydaje mi się, że Departament Wydawnictw nie jest w stanie ocenić społecznej przydatności i merytorycznej wartości każdego regionalnego wydawnictwa, nie znając szczegółowo potrzeb danego regionu.

Tylko więc sprawna organizacyjnie komisja czy rada wydawnicza w każdym województwie może wprowadzić ład w regionalną działalność wydawniczą i nie dopuścić do degeneracji cennego instrumentu polityki kulturalnej. A także zapobiec marnowaniu pieniędzy społecznych i papieru, czego również lekceważyć nie wolno.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

REKRUTACJA 1966

OD KILKU LAT w okresie rekrutacji szkolnictwo przyciąga powszechną uwagę, przy czym zainteresowanie to wzrasta w miarę powiększania się liczby młodzieży, pragnącej kontynuować naukę na poziomie średnim czy wyższym. Mówi się zwykle, że osławiony już wyż demograficzny powoduje tłok przed bramami szkół; ponadto rokrocznie zwiększa się odsetek młodzieży zamierzającej podjąć naukę w szkołach wyższego stopnia.

Rozwój szkolnictwa średniego uwarunkowany był sytuacją demograficzną oraz potrzebami gospodarki narodowej, z tym jednak, że potrzeby te w wielu wypadkach schodziły na plan drugi. Po prostu administracja szkolna i władze terenowe skierowały swój wysiłek głównie na zapewnienie jak największej ilości nowych miejsc w szkołach ponadpodstawowych. Były one nadmiernie przepełnione, m. in. oddziały klas pierwszych liczyły po 45 i więcej uczniów, co utrudniało realizację programu, obniżało poziom nauczania, powodowało zbyt duży odsiew...

Wskaźniki powszechności nauczania w zakresie szkoły średniej były coraz wyższe, ale równocześnie zwiększała się liczba młodzieży, która z braku miejsca nie podjęła nauki. Szczególnie trudny był rok ubiegły. Szkolnictwo znalazło się wówczas pod obstrzałem krytyki. M. in. wiele uwagi zwracano wówczas na nierównomierny rozwój sieci szkół, zwłaszcza zawodowych, co powodowało swego rodzaju dyskryminację części młodzieży; w niektórych rejonach osiągnięto blisko 95 proc. powszechności nauczania, w innych natomiast nawet połowa 7-klasistów nie mogła podjąć nauki w szkołach średnich. Zdarzały się również budzące oburzenie wypadki nieprzyjmowania młodzieży zamiejscowej...

Uwidoczniły się także skutki wadliwego planowania. W latach ubiegłych szkolnictwo zawodowe zbyt powoli reagowało na potrzeby gospodarki. Odpowiedzialność za ten stan ponoszą również organa planowania; sporządzane przez nie bilanse siły roboczej niejednokrotnie wprowadzały administrację szkolną w błąd.

W okresie ubiegłorocznej rekrutacji te i wiele innych węzłowych problemów szkolnictwa zeszło na plan dalszy; opinia publiczna w pierwszym rzędzie była zainteresowana wynikami rekrutacji. Szkoły znalazły się pod przemożnym naciskiem... O różnych przejawach tego zjawiska pisałem już nieraz, podkreślając jego społeczną szkodliwość.

Nie zamierzam jednak szczegółowo analizować sytuacji z lat ubiegłych; przypominam tylko niektóre sprawy w dalszym ciągu aktualne. W pierwszym rzędzie musimy uwzględnić nowe elementy, które przyniosło zakończenie reformy szkolnictwa podstawowego, przejście na 8-letnie nauczanie.

Tegoroczni 7-klasiści nie otrzymają świadectw ukończenia szkoły podstawowej, lecz tylko świadectwa promocyjne do klasy ósmej. Przejście na nauczanie 8-letnie dokonane będzie w dwóch etapach, w bieżącym i przyszłym roku. W tym roku wstrzymano rekrutację do liceów ogólnokształcących, o przyjęcie zaś do szkół zawodowych może ubiegać się młodzież, która przed dniem 1 lipca br. ukończy 14 rok życia. Pozostała natomiast jest zobowiązana kontynuować naukę w klasie ósmej. Według wstępnych danych, z blisko 35 tysięcy 7-klasistów w woj. rzeszowskim do szkół zawodowych przejdzie około 13 tysięcy. A szkoły te dysponują 16.860 miejscami. Czyżby po raz pierwszy od kilku lat groziło niewykonanie limitów przyjęć?

Do techników zawodowych zgłosiło się ponad 8 tys. kandydatów na 2.720 miejsc. 300 procent zgłoszeń; przyjęty będzie tylko co trzeci kandydat. Dużym powodzeniem cieszą się także licea pedagogiczne dla wychowawczyń przedszkoli (242 proc. zgłoszeń) oraz szkoły artystyczne (176 proc. zgłoszeń), ale w liczbach bezwzględnych nie przedstawia się to zbyt groźnie. Problemem natomiast jest nadmierne oblężenie techników oraz niedobór zgłoszeń do pozostałych szkół zawodowych. I tak: zasadnicze szkoły zawodowe po klasie 7 mają dotychczas 96 proc. kandydatów, zasadnicze szkoły międzyzakładowe — 62 proc., zasadnicze szkoły przyzakładowe — tylko 44 proc., szkoły przysposobienia rolniczego — zaledwie 31 proc. Jeszcze większe dysproporcje występują w obrębie poszczególnych kierunków kształcenia.

Pozornie sprawa wydaje się prosta. Nieprzyjęci do techników podejmą naukę w pozostałych szkołach zawodowych, w których jest jeszcze sporo miejsc wolnych. A jeśli uwzględnimy kandydatów ubiegłorocznych to plan zostanie wykonany. Nie będzie natomiast problemu z tzw. wolną młodzieżą, nie uczącą się i nie pracującą; dla wszystkich starczy miejsc.

W rzeczywistości sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana. Jedno jest tylko pewne: dwuetapowe przejście na 8-letnie nauczanie w szkołach podstawowych rozładowało tłok przed szkołami średnimi. Wyłania się jednak szereg problemów, wprawdzie nie nowych, ale istotnych. Wspomniałem o planowaniu rozwoju szkolnictwa. Ministerstwo Oświaty w piśmie okólnym do kuratoriów okręgowych zwraca uwagę na zaniżanie planów przyjęć do zasadniczych szkół zawodowych i nieuzasadnione zawyżanie do techników; jest to zdaniem Ministerstwa jeden z przejawów nieuwzględniania wytycznych zawartych w Narodowym Planie Gospodarczym.

CIĄG DALSZY NAST.

RZEŹBA I GRAFIKA W DOMU SZTUKI W RZESZOWIE

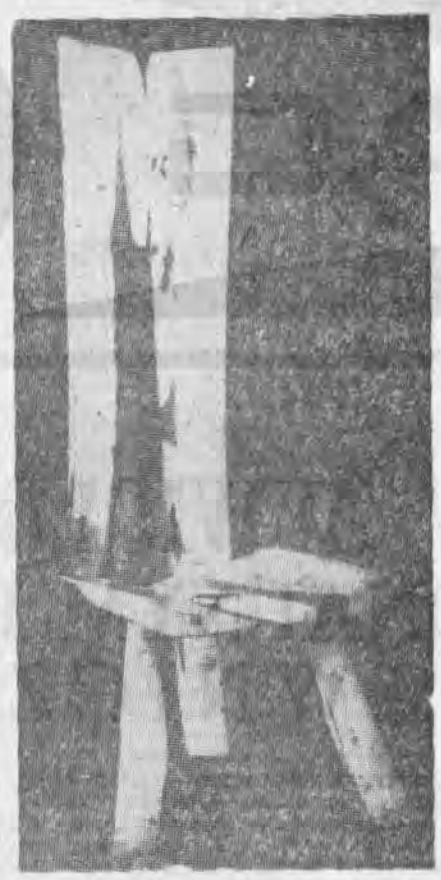

Józef Zathey — rzeźba — siedzisko

W Domu Sztuki w Rzeszowie czynna jest wystawa rysunku, grafik i temper Barbary Smoczeńskiej oraz rzeźb — siedzisk Józefa Zathey'a.

Barbara Smoczeńska ukończyła studia na Wydziale Grafiki w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w 1962 r. Od tego czasu związała się z województwem rzeszowskim. Bierze udział w wystawach rzeszowskiego Okręgu ZPAP i wystawach ogólnopolskich, m. in. w Wystawie Czterech Województw w 1963 r. i w I Ogólnopolskiej Wystawie Rysunku we Wrocławiu w 1965 r.

Twórczość jej zyskała uznanie krytyki i miłośników sztuki. Barbara Smoczeńska uzyskała III nagrodę w konkursie „Lata walki w dziełach sztuki" — 1964 r., III nagrodę i wyróżnienie w konkursie „Dziecko i jego świat" — 1965 r., II i III nagrodę w konkursie „Rzeszów i jego okolice" — 1965 r.

Dla B. Smoczeńskiej otaczający świat jest niewyczerpanym źródłem inspiracji twórczej. Dlatego interesuje ją każdy temat; człowiek, pejzaż, martwa natura. Pracuje dużo i rzetelnie, chętnie posługuje się kreską rysunkową, która pozwala jej na gorąco notować wrażenia. Urok twórczości artystki tkwi w niezwykłej świeżości i ekspresyjności formy. Oprócz rysunku i grafiki Smoczeńska uprawia malarstwo sztalugowe.

Józef Zathey studia artystyczne ukończył na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w 1958 roku. Brał udział w wystawie „Rzeźba 15-lecia PRL" w Warszawie oraz w wystawach okręgowych ZPAP w Krakowie. Wystawa rzeźb siedzisk jest pierwszą indywidualną wystawą autora.

Może właśnie otoczone lasem okolice Lubaczowa, w którym artysta się urodził zadecydowały o wyborze drewna jako tworzywa. Oryginalne prace Zathey'a charakteryzuje celowość kształtu uwarunkowana funkcjonalnością, określona właściwościami tworzywa. Rzeźby siedziska Zathey traktuje jako kompozycje, które w nowoczesnym pomieszczeniu mogą spełniać dwojaką funkcję: użytkową i estetyczną.

Całość ekspozycji ciekawie zaprojektował architekt wnętrz Andrzej Smoczeński. (g)

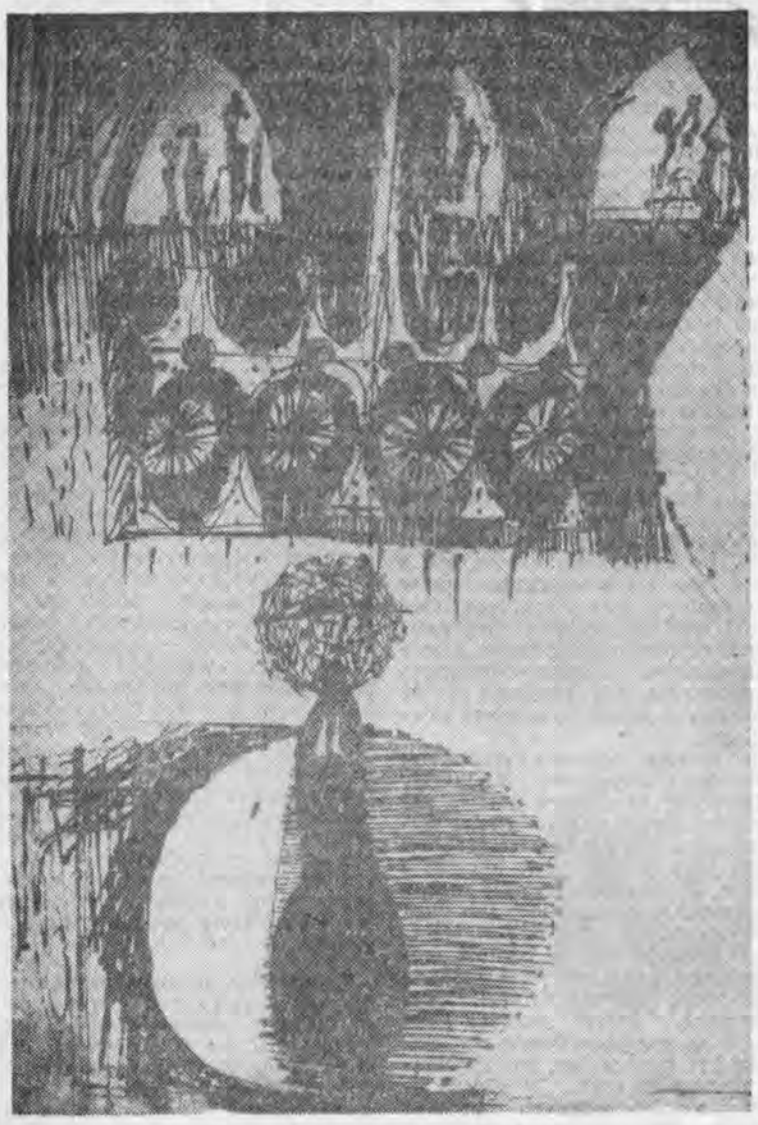

Barbara Smoczeńska — grafika

WIELBICIELE I PROPAGATORZY

MARIA C. GUZIOŁEK

BYŁ czas, w którym Dyskusyjne Kluby Filmowe powstawały jak przysłowiowe „grzyby po deszczu". Teraz po latach na pewno pożytecznej działalności i jubileuszach istnienia (bo i takich liczne z nich się doczekały) nie można powiedzieć, że spoczęły one na laurach, ale bezsprzecznie przechodzą bądź kryzys, bądź okres poszukiwania nowych form, bardziej odpowiadających rozsmakowanemu w sztuce filmowej widzowi, uczestnikowi zajęć klubowych. Do poszukiwań innych i atrakcyjnieszych metod pracy zmusza również wkraczająca coraz agresywniej we wszystkie dziedziny kultury i naszej codzienności — telewizja.

Potencjalnymi konkurentami dyskusyjnych klubów filmowych stają się także Kluby Filmowców Amatorów. I chyba fuzja tych obu grup wielbicieli X Muzy rozwiąże ich problemy, wskaże właściwy kierunek działania...

Zakochani w Melpomenie utworzyli Kluby Miłośników Teatru. Charakterystyczną cechą tych klubów jest ich szeroki rozwój i popularność szczególnie wśród ludności małych ośrodków miejskich i wsi. Niemały wpływ na taki rozkład sieci klubów teatralnych ma bezspornie trwający od kilku lat konkurs „Wieś bliżej teatru". Jak bardzo był on potrzebny świadczy właśnie duża żywotność Klubów i powstawanie coraz to nowych placówek. Tym klubom z kolei mały ekran nie zagraża, przeciwnie teatr telewizji przysparza im roboty, daje pole do analizy wiedzy o sztuce dramatycznej, porównań „żywego teatru" z „teatrem cieni", który jednak nie jest filmem.

Ale najciekawszym i jedynym w swoim rodzaju zjawiskiem w popularyzacji sztuki, to podjęta z ogromnym powodzeniem przez samych artystów-plastyków kampania o zbliżenie malarstwa, grafiki i rzeźby do... wszystkich. Nieczekanie tylko w pracowniach i salach wystawowych na potencjalnych odbiorców dzieł i koneserów sztuk pięknych, lecz organizowanie wszędzie, gdzie były tylko ku temu warunki wystaw, odczytów i spotkań autorskich — szybko owocowało. Dziś, mimo przyjęcia ogromnie trudnych dla niewtajemniczonego form wypowiedzi artystycznej przez plastyków uprawiających najróżniejsze dyscypliny — ich sztuka budzi zainteresowanie, dyskusję, jest przyjmowana lub odrzucana, ale nie jest obojętna społeczeństwu w szerokim pojęciu. Co prawda walki z „jeleniem na rykowisku" plastycy jeszcze w stu procentach nie wygrali, jednak tworząc w samotności mają już dziś dowody, że ich praca jest oczekiwana. Kampania o upowszechnienie plastyki to był strzał w dziesiątkę! Oby tak dalej!

Spośród wszystkich Muz, jakieś wybitnie „zezowate szczęście" prześladuje Polihymnię. Kapitalny paradoks! Polska słynie w Europie i wielu centrach muzycznych świata ze znakomitej muzyki i znakomitych wirtuozów. Polscy kompozytorzy zbierają laury na najbardziej elitarnych konkursach. Często prawykonania współczesnych dzieł polskich twórców odbywają się właśnie za granicą, gdyż powstały na jej zamówienie. Zespoły kameralne, filharmonie i chóry są entuzjastycznie przyjmowane i to zwykle przez bardzo wymagającą publiczność. Międzynarodowe konkursy organizowane przez nas w kraju, w zasadzie znajdują pełne zainteresowanie zagranicy.

To jedna strona medalu, zaledwie w szkicu, bo nie o blask laurów polskiej muzyki przecież idzie. Druga jest zdumiewająca. Na szczęście coraz rzadziej pada niefortunne — moim zdaniem — określenie ludzi młodych i w średnim wieku, jako „pokoleń głuchych".

Przed kilkoma dniami byłam na spotkaniu przedstawicieli rzeszowskich muzyków ze studentami. Wówczas padły znamienne dla współczesnej młodzieży słowa. Jeden z nich powiedział nie bez zażenowania, jednak młodzieńczo szczerze: „Czy lubię muzykę? Chyba tak, ale ja jej nie znam!". Otóż okrzyczana przed laty „głuchota" to właśnie tylko niewiedza i brak osłuchania.

Muzyka jest sztuką bodajże najtrudniejszą. Poprzez słuch działa na wyobraźnię, którą trzeba odpowiednio przygotować, bo do pomocy dźwiękom nie pozostaje do dyspozycji jak w teatrze aktor, dekoracja, nastrój, dramat itp. lub jak w plastyce gotowy kształt rzeźby czy kolor, faktura i rysunek obrazu. Muzyce czasem pomagają słowa kantaty, arii, pieśni w oddziaływaniu na słuchacza, ale słaby to sojusznik. Siła jego często tkwi właśnie w atmosferze samej muzyki, nastroju, który stwarza ona sama. Zrozumienie muzyki komplikuje „na domiar złego", jej ogrom form, trzeba poznać większość, aby móc wybrać sobie najbliższą, wybrać świadomie na podstawie znajomości przedmiotu.

— Jak do tego dojść?

Odpowiedź prosta: drogą zdobywania wszystkich stopni „wtajemniczenia" i przez słuchanie dobrej muzyki w dobrym wykonaniu.

Przytoczę tu jeszcze jedno zdanie ze wspomnianego spotkania, zdanie studenta uczelni t e c h n i c z n e j, a nie humanistycznej: Każdy k u l t u r a l n y człowiek powinien chociażby na tyle znać muzykę, aby nie musiał milczeć, gdy się o niej mówi.

— Snobizm?

— Na pewno nie, tylko właściwe zrozumienie słowa: inteligent, człowiek kulturalny.

I tak w szeroko rozwiniętym ruchu kulturalnym i oświatowym, którego wyrazem są m. in. wspomniane kluby zainteresowań artystycznych nie ma Klubów Miłośników Muzyki, zrzeszających młodych jej wielbicieli i dojrzałych lub jednych i drugich.

Z jednej strony stanęli ci, którzy omijają sale koncertowe, chociaż lubią muzykę, ale jej nie znają, bo nikt ich jej nie nauczył (w jak innej sytuacji jest dzisiejsza młodzież szkolna!), a z drugiej, muzycy, którzy narzekają na stale zmniejszającą się frekwencję na imprezach muzycznych.

Gdzie szukać arbitra, komu powierzyć funkcję zjednywania nowych słuchaczy dla dobrej muzyki i dopingowania kierownictw orkiestr do stałego podnoszenia poziomu swych zespołów, a m. in. nieukładania repertuaru pod wyimaginowaną częstokroć publiczkę?

Z doświadczeń innych dziedzin artystycznych, które przecież w „specjalistycznych" klubach zrzeszają swych popularyzatorów i wielbicieli chyba już dziś można wnioskować, że funkcję sprzymierzeńca można powierzyć właśnie klubom muzycznym. A że tak być może, niech posłuży przykład Krakowa, siedziby, jeżeli nie pierwszego to na pewno jednego z najstarszych Klubów Miłośników Muzyki w Polsce. Jego działalność frapowała mnie od dłuższego czasu, ale bezpośrednio poznałam ją niedawno.

...Klub Miłośników Muzyki zaprasza na wieczór pod nazwą „Jan Gall w pieśni i życiu". Wieczór odbędzie się w „Złotej Sali" Filharmonii... głosił anons w jednej z krakowskich gazet.

„Złota Sala" Filharmonii krakowskiej nie ma wiele wspólnego z przepychem, jaki sugeruje jej nazwa, która zapewne wywodzi się z „historycznego" okresu świetności gmachu przy ul. Zwierzynieckiej 1. Jest to po prostu kameralna salka, mogaca pomieścić dobrze ponad 200 osób, proponując siedziska nie najwygodniejsze i nie najładniejsze, taką sobie zbieraninę „czym chata bogata".

O godzinie 19 nieomal wszystkie miejsca były zajęte. Atmosfera przyjacielska, prawie rodzinna. Tu już nie jest potrzebny szczególnie wyostrzony zmysł obserwacyjny, aby zauważyć, że ci ludzie znają się, są zżyci, przychodzą jak do własnego domu.

Klub Miłośników Muzyki w Krakowie powstał w połowie 1963 r. Powstał na podstawie „zmowy społecznej" stałych słuchaczy koncertów Filharmonii, którzy znaleźli wiernych sprzymierzeńców w „Echu Krakowa", kierownictwie Filharmonii i w miejscowym oddziale Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków. Klub przyjął formę stowarzyszenia zwykłego. Dziś skupia 580 stałych członków od drukarzy i kierowców do ludzi z tytułami naukowymi. Przewodniczącym Klubu od początku jest prawnik i poeta zarazem, mecenas Jan Kocznur. Poważną grupę stanowią studenci, bo jest ich aż 140. Członkowie posiadają legitymacje, jednak imprezy KMM są bezpłatne, dostępne dla wszystkich melomanów.

Celem Klubu — tak głosi statut — jest działalność nad rozwojem kultury muzycznej; wychowanie aktywnego, świadomego i wymagającego słuchacza muzyki; zdobywanie nowego słuchacza, przekazywanie dyrekcji Filharmonii w Krakowie postulatów słuchacza i współdziałanie w zakresie ustalania programów. Jednym z założeń jest również popieranie i szerokie propagowanie imprez organizowanych przez Państwową Filharmonię im. Karola Szymanowskiego w Krakowie, Krakowski Oddział Stowarzyszenia Muzyków i inne instytucje muzyczne.

Filharmonia rewanżuje się, dając członkom Klubu bilety z 50 proc. zniżką na wszystkie koncerty abonamentowe i gwarantuje pierwszeństwo w uzyskaniu biletów na inne imprezy przez nią organizowane.

Klub zgodnie ze swymi założeniami nawiązał kontakt z wszystkimi organizacjami społecznymi i środowiskami twórczymi, m. in. z TPPR, MKKiP, NOT i wspólnie z nimi urządza imprezy w ich siedzibach, wychodząc naprzeciw potencjalnym członkom Klubu lub jego sympatykom i miłośnikom muzyki w ogóle.

Rocznie odbywa się bez mała 50 spotkań artystycznych i to jakichi! Przeglądam kronikę, w której każda impreza znajduje swe „pokwitowanie" w formie zdjęć, relacji, cennych słów wielkich artystów. W Klubie m. in. wystąpili: Witold Małcużyński, Henryk Szeryng, Genadij Rożdiestwieńskij, Wanda Wiłkomirska, Paul Freeman, Tadeusz Ochlewski, Regina Smendzianka, Paweł Klecki, Władysław Kędra, Roberto Benzi, Artur Moreira-Lima...

— Wystarczy?

Nazwiska sławnych i wielkich artystów można jeszcze cytować i cytować.

— Na Polihymnię — nieomal nie wykrzyknęłam z zazdrości: Skąd bierzecie pieniądze na organizację taaakich wieczorów — rarytasów artystycznych?

Mgr Kocznur i pani Afrodyta Lewicka — dobry duszek Klubu, prowadzący wszystkie sprawy organizacyjne i administracyjne, uśmiechnęli się prawie równocześnie: Pieniądze? Nikt z naszych gości nie zażądał jeszcze honorarium. Wszyscy tak artyści muzycy, jak artyści dramatyczni i prelegenci biorą udział w spotkaniach honorowo. Naturalnie wszystkich witamy jako drogich przyjaciół zawsze kwiatami i należną im serdecznością.

A pieniądze też mamy ze składek członkowskich, które wynoszą 20 złotych rocznie od osoby. W sumie jest to kwota, z której pokrywamy koszty druków, wspomnianych kwiatów, drobnych upominków dla artystów itd. Wszyscy pracujemy społecznie.

Niedaleko trzeba było szukać przykładów dobrej roboty, popularyzującej muzykę i umożliwiającej jej wielbicielom coraz lepsze poznanie jej tajników, poprzez stałe kontakty z twórcami i genialnymi niejednokrotnie odtwórcami dzieł.

* * *

Powstają kluby miłośników muzyki. Należą one jeszcze do rzadkości nawet w poważnych ośrodkach muzycznych kraju, ale zaczyna się coś zmieniać na lepsze. Obecnie przy koleżeńskiej pomocy krakowian tworzy się klub w Częstochowie. O utworzeniu KMM myślą również kielecczanie.

Miłośnicy muzyki są również w Rzeszowie. Świadczy o tym chociażby zwykle wypełniona słuchaczami sala koncertowa POS. 200 spośród słuchaczy, to stali „abonamentowicze" a więc potencjalni członkowie Klubu.

A gdzie urządzać spotkania?

Wystarczy rozejrzeć się dookoła. Rzeszów jednak posiada 2 domy kultury, kluby architekta i NOT, Dom Kolejarza itd. itd. Ma przecież Dom Sztuki i nowoczesną szkołę muzyczną. Chciałabym uwierzyć, że jeszcze dziś bezdomna i bez wielbicieli piękna Muza Polihymnia znajdzie należne jej miejsce również w Rzeszowie. Rzeszów, przecież tak niedaleko leży od Krakowa.

1000 LAT KULTURY POLSKIEJ

ALEKSANDER ŻYGA

Bieszczadzkie lata pana Blizińskiego

Wiosną 1876 r. Józef Bliziński za należność, jaką w górach sanockich w wyniku układów familijnych posiadała jego żona, Paulina Sokołowska. kupił w Bóbrce sanockiej trzystamorgowy folwark z przylegającym doń lasem. Przeniósłszy się do Galicji, sądził, że własna posiadłość przyniesie mu wreszcie niezależność materialną, tak trudną do osiągnięcia na wielkomiejskim bruku Warszawy. Była to ta sama Bóbr ka — jak donosił komediopisarz w liście do J. I. Kraszewskiego — „w której Kaczkowski osadził był swojego Nieczuję". Zbudował tutaj Bliziński w prześlicznym położeniu na brzegu Sanu dom mieszkalny, otoczył go ogrodem i parkanem, które pielęgnował w chwilach wolnych od zajęć gospodarskich i pracy literackiej.

Zmieniło się z chwilą przybycia do Bóbrki i samopoczucie pisarza. Było ono doskonałe. Nie zdołały go zamącić liczne kłopoty w związku z urządzaniem nowej siedziby. Widać to z licznych listów Blizińskiego do przyjaciół kujawskich i lwowskich, których zasypywał stekiem korespondencji, opisując im cuda sa nockiego pejzażu, powietrza. itp. Wieje z nich radość i optymizm. Pochodził przecież Bliziński z kujawskich równin, a tu nagle z okien domu rozciągał się wspaniały widok na Bieszczady. Z zadowoleniem pisał o tym w roku 1878 do Alberta Wilczyńskiego, autora „Kłopotów starego komendanta we Lwowie". *„Wystawcie sobie (zdaje mi się, że Wam wspominałem), postawiłem no wy folwark; wyrósł jak grzyb po deszczu — mieszkamy w nowym domu już od kilku tygodni, bardzo wesoły i przyjemny, w przecudnym położeniu, na skale tuż nad Sanem. Otóż, jako estetyk, urządzam wszystko na podziw ludzki, korzystając z cudnych dni, ciągle wytykam, wykreślam koła, kółka, elipsy; dziś właściwie urządziłem znakomity klomb, to jest trawnik do zajazdu przed dom, zmachałem się porządnie, a przy tym nie brak innych zajęć. Robię wszystko gorączkowo, bo tylko patrzeć, jak weźmie mróz i śnieg spadnie. Wtenczas zamknę się w pokoju i obłożę książkami i papierami (...) Wystawcie sobie, mój nowy folwark sąsiedzi nazwali Damazówką. Nie chciałem, będąc zdania, że to wygląda na pretensjonalność, ale mi nie pomogło".*

Zafascynowany urokiem sanockich gór od razu posłał Bliziński z Galicji porcję korespondencji na ręce redaktora warszawskiego „Wieku", Zygmunta Sarneckiego. Mimo nalegań przyjaciół, którzy go ciągle nagabywali, aby ich odwiedził, pisarz wymawiał się brakiem czasu i przywiązaniem do swej Bóbrki. Odczytując pełne zadowolenia listy komediopisarza, nie mogli oni sobie wytłumaczyć, co go tak mogło do nowej siedziby przyciągnąć. Z ciekawością wypytywali się też o szczegóły jego nowego życia i otoczenia. *„U siebie tam w swej Bóbrce między górami i smerekami musi być znacznie cieplej — pisał Maksymilian Celiński, jeden z krewniaków Blizińskiego z Kujaw — opisz nam swoje okolice, sąsiadów, jakiego są zakroju, czy bliskie wsie i sąsiedztwo, jak tam czas spędzasz itp.?". „Z tych listów domyśleć się łatwo mogę, — dodawał tenże w następnej korespondencji — żeś zupełnie kontent z obecnego położenia Twego (...) Wioska widać w ładnym położeniu, tuż nad Sanem i Wołczą, pomiędzy górami. A poczta blisko i szosy, koleje i sąsiedztwo liczne i dobre (...)".*

Wszyscy korespondenci i przyjaciele zazdrościli Blizińskiemu pięknej okolicy, folwarku, niezależności materialnej, życzyli szczęścia... potomstwa itd. Jeden z nich nawet dopominał się: *„napiszże mi co o zwierzętach i ptakach, jakie tam ma cie, a orły widujesz często?" „Tobie co masz małe gospodarstwo, które ci kłopotów nie sprawia, a rozrywkę prawie, możesz sobie pisać, mając własne mieszkanie i życie wygodne, ogród itd."* — zazdrościł inny.

Coś z błogiej atmosfery tych lat znalazło się w opowiadaniu pt. „Sielanka pana Michała" (1882). W świetnym samopoczuciu, zadowoleniu, w obliczu pięknych widoków na sanockie góry, w nadziei, że znalazł się w roli prawdziwego ziemianina, zaczął Bliziński pisać. Efekt pracy był nadzwyczajny i nieoczekiwany. Powstało od razu arcydzieło: jedna z klasycznych polskich komedii ziemiańskich, „Pan Damazy", która zdobyła jednogłośnie pierwszą nagrodę na dramatycznym konkursie w Krakowie. Oczywiście dała w niej znać o sobie przynależność Blizińskiego do sfery ziemiańskiej. Bohaterem komedii uczynił przeciętnego hreczkosieja, „ale dobrego, idealnego szlachcica". Panu Damazemu udzieliło się niewątpliwie coś z optymizmu samego autora komedii w pierwszych latach bytowania w Bóbrce. O pierwszeństwo w wystawieniu komedii zaczęły ubiegać się omal wszystkie pierwszorzędne teatry krajowe, a płynące do rąk komediopisarza honoraria, były dodatkowym źródłem zagospodarowania.

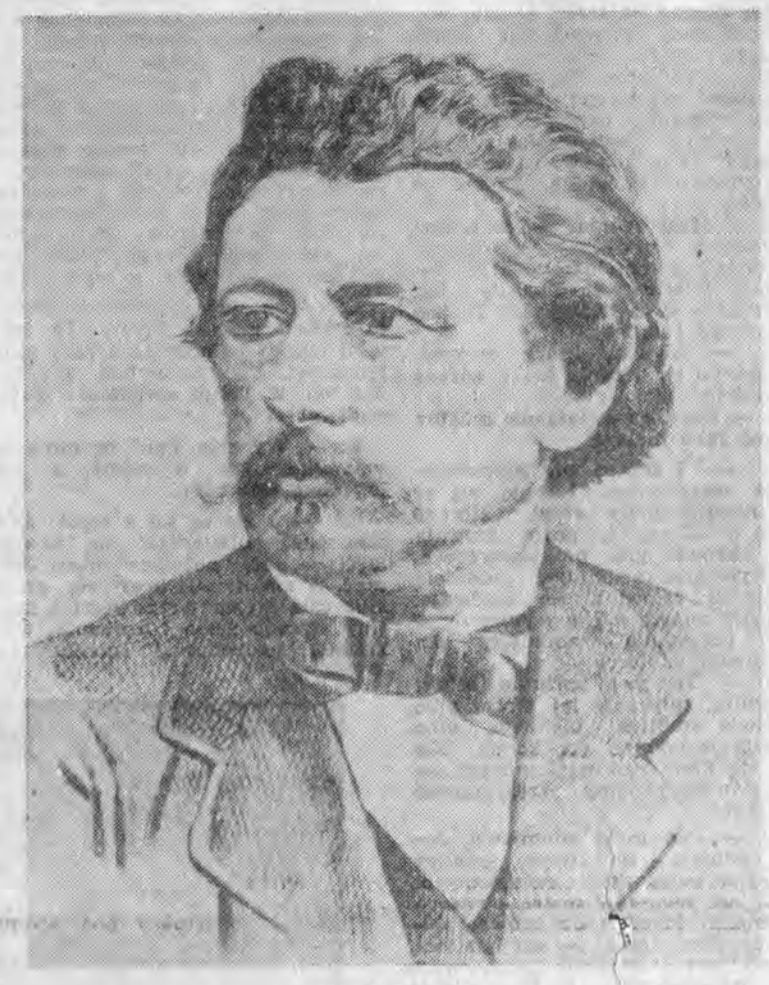

Józef Bliziński

Dzięki „Panu Damazemu" uzyskał Bliziński sławę nie tylko komediopisarza, ale głośna stała się, znana dotąd tylko z powieści Kaczkowskiego, miejscowość sanocka. Bóbrka komediopisarza, nazywana dotąd blizińską, zyskała miano „Damazówki". Per „Damazy" zwracali się teraz w listach do Blizińskiego jego przyjaciele:

„Czterdzieści renów (reńskich) onegdaj rano
Do Damazówki Waści wysłano
Niechże ta suma dosyć obfita,
Starczy na kupno owsa i żyta.
I niech ukoi Twoje obawy
Byś Waść nie zeszedł na chleb łaskawy".

żartował, jak zwykle, z komediopisarza Władysław Bełza we Lwowie, główny plenipotent, a później i żyrant licznych pożyczek Blizińskiego.

W podobnym tonie zwracał się do autora „Pana Damazego" w roku 1879 głośny dramaturg pozytywistyczny, Zygmunt Sarnecki:

„A więc, panie Józefie,
Dramaturgów szefie,
Przyjm życzenia najszczersze,
Ile mieszczą ich wiersze:
Niech z pióra Twojego
Komedyje wciąż biegą,
Niech nam nowy „Damazy"
Błyśnie światłem bez skazy,
Niech „Kawaler marcowy"
Zwodzi panny i wdowy",

dodając: *„abyś spłodził jeszcze z 15 „Damazych", z 10 „Kawalerów marcowych, a jak „Mąż nie od biedy", dbały o rozwój rodziny i zaludnienie kraju, abyś zaprosił w krótkim czasie twojego przyjaciela na ojca chrzestnego małego Józia i równie przyjemnej Helenki, córki nie pana Damazego, ale swojej własnej (...). Przykup też do Bóbrki przynajmniej połowę Sanockiego, a wystaw przy tym dwór wielki (...), abyś w cieniu mógł pomieścić wszystkich tych, którzy się kochają".*

Rosła w Galicji sława nie tylko Blizińskiego komediopisarza, ale i Blizińskiego humorysty, który w swoich opowiadaniach potrafił plastycznie odtwarzać dole i niedole szlacheckiego życia. Zabiegały o nie nie tylko miejscowe periodyki, jak przemyski „San", ale nawet pisma fachowe, jak „Gazeta Rolnicza", nie licząc licznych czasopism literackich.

Jako wzorowy pisarz — ziemianin pełnił Bliziński przez jakiś czas funkcję delegata Wydziału Rady Powiatowej w Bóbrce, mającego pod swym nadzorem stan miejscowych dróg. Zapraszała komediopisarza na zebrania do Sanoka rada oddziału sanockiego ck. Towarzystwa Gospodarskiego Galicyjskiego.

Nie ruszając się poza Galicję przez parę lat, pędził jednak Bliziński życie dość ruchliwe. Odwiedzał sąsiadów, wyjeżdżał do Lwowa, do Krakowa w związku z wystawieniem „Pana Damazego", najczęściej zaś do Iwonicza, gdzie spotykał się z najbliższymi przyjaciółmi: Władysławem Bełzą i Zygmuntem Sarneckim. Z Bełzą odbył nawet wycieczkę w okolice Krosna, zwiedzając ruiny zamku odrzykońskiego.

Kontaktom ze światem sprzyjało dobre położenie Bóbrki tuż przy linii kolejowej do Lwowa, Sanoka, blisko urzędu pocztowego w Solinie. One to sprawiały, że komediopi sarz był au courrant ówczesnego życia literackiego. W domu jego leżały stosy współczesnych periodyków literackich.

Dwór bóbrecki był w roku 1884 i 1885 jednym z głównych miejsc pobytu znanego folklorysty i etnografa Oskara Kolberga, któremu jeszcze na Kujawach dostarczał Bliziński materiałów do prac folklorystycznych, nie zaniechał ich zresztą komediopisarz i w Galicji.

Radość i optymizm Blizińskiego w Bóbrce, zaświadczone napisaniem „Pana Damazego" prysły nagle, kiedy po kilku latach dały znać o sobie kłopoty materialne komediopisarza. Dopóki były honoraria, folwark Blizińskiego prosperował jako tako. Nieumiejętność gospodarowania, widoczna już na Kujawach, gdzie musiał sprzedać swoje gospodarstwo, przyczyniła się do tego, że nie mogąc związać końca z końcem zaczął się pisarz powoli zadłużać. Komedie nie wychodziły, pisanie ich sprawiało autorowi trudności. W krytycznej sytuacji musiał więc sięgać stale po pożyczki, które żyrowali mu przyjaciele we Lwowie. W ciągłych tarapatach finansowych powstawały „Rozbitki" (1881), w których w przeciwieństwie do optymizmu „Pana Damazego" wyraził się nastrój pesymizmu w postaci gryzącej satyry na arystokrację. Pisał komedię długo, przerabiał, zanim odważył się ją dać na scenę. Znać tu, że talent komediopisarza powoli się wyczerpywał.

Zauważywszy, że w sąsiednich miejscowościach robiono kariery na nafcie, Bliziński i w niej zaczął szukać ratunku. Sądził, że na terenie jego folwarku mogą się znaleźć bogate złoża ropy, myślał o zorganizowaniu spółki naftowej... Zamierzał włożyć w nią nikłe już po roku 1880 honoraria, oraz gotówkę za sprzedany majątek. Postanowił zrobić na nafcie karierę, stać się kapitalistą, jak Łukasiewicz czy Klobassa. Informował się fachowców i wybitnych znawców przemysłu naftowego o wysokość nakładów kopalnianych. Jednym słowem uległ gorączce naftowej, spodziewał się, że w nafcie znajdzie swoje eldorado. Kiedy z tymi planami zwierzał się korespondentom, ci umacniali go jeszcze bardziej w nadziejach: *„Mój drogi! i z komedii, i z nafty cieszę się niesłychanie — pisał doń Bełza — (...) zapisuję się do grona akcjonariuszów na Waszą naftę. Żona moja, podzielając mój zapał, ośmiela się zapytać, czy nafta będzie tańsza i lepsza od tej, jaką my do oświetlenia zwykle używamy. Przyślijcie z garniec na próbę.* Innym razem znowu życzył:

„Niech Ci nafta strugą płynie
Za komedie sypną ruble,
Znajdź masy cukru w buczynie
Kawior jadaj nawet w kuble".

Gdy jednak w spółkę naftową nie było już co inwestować, bo na hipotece Bóbrki ciążyło mnóstwo długów i szereg rzeczy leżało zastawionych we Lwowie za niewypłacone weksle, przylgnęła do Blizińskiego nazwa „Rozbitka".

Kiedy zawiodła nafta i komedie („Ciotka na wydaniu" 1883, „Szach i mat" 1886), próbował Bliziński na zlecenie przygotować do druku przysłowia zebrane przez Franciszka Korab-Brzozowskiego, krzątał się nad dopełnieniami słownika Lindego, usiłując na nie uzyskać zaliczkę od Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, jednakowoż na próżno. Nie wydano ich jednak nigdy, i do dziś dnia spoczywają w rękopisach Biblioteki Jagiellońskiej.

Beznadziejna sytuacja finansowa komediopisarza sprawiła, że postanowił pozbyć się Bóbrki i osiąść w Krakowie. Zdecydował się sprzedać swą posiadłość. Nieszczęśliwie trafił na kupca bez pieniędzy, z którym musiał się przez dwa i pół roku procesować. Tym ponurym akcentem skończył się tak świetnie zapowiadający się żywot poczciwego komediopisarza, ziemianina w Bóbrce.

Dwanaście lat pobytu w górach sanockich odświeżyło jednak talent Blizińskiego. Pozostały po nim napisane tu dwa arcydzieła komedii polskiej: „Pan Damazy" i „Rozbitki", które ugruntowały jego pozycję w literaturze polskiej, nie licząc kilku mniej udanych komedii i opowiadań — humoresek zebranych w tomie „Nowe humoreski".

Wychowanie techniczne — nowa specjalizacja pedagogiczna

Zdobycze techniki znajdują już dziś tak szerokie zastosowanie w różnych dziedzinach życia człowieka, że bez wiadomości o technice i postępie technicznym niemożliwe jest zrozumienie aktualnych problemów społecznych i ekonomicznych. W dużej mierze każda kwalifikowana praca zawodowa w naszych czasach wymaga choćby elementarnej wiedzy technicznej. Technika stała się na pewno jednym z ważnych ogniw ogólnej i materialnej kultury człowieka.

Powstała wyraźna potrzeba ogólnej orientacji technicznej, w stopniu, który zapewni pełne wykorzystanie rozwijającej się techniki. Realizacja tego zadania konieczna jest przede wszystkim w średniej szkole ogólnokształcącej z natury swojego programu usytuowanej bliżej problematyki humanistycznej niż technicznej. Dlatego szkole ogólnokształcącej potrzebny jest pedagog o wykształceniu technicznym, który teoretycznie i praktycznie wprowadzać może młodzież w świat nowoczesnej techniki. Kształcenie nauczycieli przedmiotów technicznych podjęły na wydziałach wychowania technicznego Wyższe Szkoły Pedagogiczne w Katowicach, Opolu i Rzeszowie.

Po pięcioletnich studiach na kierunku Wychowania Technicznego absolwent otrzymuje tytuł magistra wychowania technicznego: to go uprawnia do nauczania przedmiotu „zajęcia techniczne" w nowej, zreformowanej szkole ogólnokształcącej. Nie należy magistra wychowania technicznego identyfikować z nauczycielem „robót ręcznych", przysposobienie bowiem ucznia w zakresie umiejętności manualnych pozostaje w sferze ośmioletniej szkoły podstawowej. Zajęcia techniczne w szkole ogólnokształcącej, to przede wszystkim elektrotechnika z elementami radiotechniki, maszynoznawstwo, elementy motoryzacji, obróbka metali, rysunek techniczny. Absolwent kierunku WT otrzymuje dobrą podbudowę teoretyczną w zakresie takich przemiotów, jak matematyka, fizyka, chemia, mechanika techniczna, termodynamika, hydromechanika.

Z uwagi na charakter nauki, jak też i przyszłe zadania, student kierunku wychowania technicznego zdobywa wiedzę humanistyczną w dziedzinie filozofii, psychologii, logiki, pedagogiki i historii wychowania technicznego. Do wymienionych wyżej dochodzą jeszcze przedmioty politechniczne, jak zajęcia warsztatowe o różnych specjalnościach, maszynoznawstwo w dwudziestu działach, elektrotechnika, elektronika, metaloznawstwo, budownictwo, górnictwo itd.

Program WT na WSP ma duże podobieństwo do programu wydziału mechanicznego politechniki. Przedmioty specjalistyczne są tu jednak ograniczone na rzecz przedmiotów pedagogicznych, większej ilości pracowni oraz szerzej potraktowanych przedmiotów ogólnotechnicznych. Przed absolwentem kierunku WT stoi też otworem droga do pracy naukowej w dziedzinie któregoś z przedmiotów technicznych.

Kierunek Wychowania Technicznego w WSP w Rzeszowie czeka na absolwentów liceów, którzy mając zamiłowanie do nauk technicznych, chcą się poświęcić pracy pedagogicznej w tym zakresie.

mgr WOJCIECH ZIMEK

ROZMOWY O SZTUCE

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

OBRAZ — WŁASNYM ZDANIEM

K: — Kiedy mówimy o sztuce XX wieku w sposób ogromnie widoczny, powiedziałabym narzucający się, podkreślamy jej autonomiczność. Przy całej złożoności sztuki — myślę, że najprościej byłoby wytłumaczyć to pojęcie zaangażowaniem malarza (bo pewnie będziemy mówić przede wszystkim o malarstwie) w rzeczywistość, jego stosunkiem do niej. Bo zgodni jesteśmy chyba, że skończył z jej odtwarzaniem i sens swej pracy zamknął w tworzeniu; stąd jego dzieło zyskało ową autonomiczność, stąd przestał sugerować rzeczywistość, udawać świat, przenosić go wiernie na płótno, dążył do takich obrazów, które same stworzyłyby nową rzeczywistość — jego własną rzeczywistość. Czy stał się przez to bliższy i bardziej zrozumiały dla ogółu odbiorców, to już zupełnie inna sprawa, bo zresztą sam proces wyrażania idei zawsze krył w sobie niebezpieczeństwa pomyłek i trudności, wymagał czasu na przemyślenie, albo prześledzenie jego etapów; tym niemniej piękno sztuki XX wieku tkwi przede wszystkim w tej wartości, jaką dają nieustanne propozycje nowej rzeczywistości, tkwi w wielości tych propozycji. Jestem przekonana że Pańskie propozycje malarskie, Panie Edwardzie, też będzie trudno nazwać i precyzować słowem, ale może Pan spróbuje?

E: — Próbuję — choć mój stosunek do sztuki zamyka się przekonaniem, że jest ona sprawą tak osobistą i wypływającą z tak naturalnej potrzeby psychicznej człowieka, że trudno ją analizować, a zupełnie już niemożliwe byłoby zniżać ją do poziomu widza. Te bardzo osobiste sprawy człowieka szukają możliwości wypowiedzenia się i drugiego ważnego czynnika — akceptacji społecznej. Obowiązkiem malarza jest tkwić w rzeczywistości, a prawda, na jakiej zawsze jest budowane dzieło sztuki, polega przede wszystkim na przeżyciu tej rzeczywistości i ustosunkowaniu się do niej.

K: — Stąd potrzeba akceptacji społeczeństwa?

E: — Tak, bo obraz jest zawsze konfrontacją własnego spojrzenia ze sprawą społeczną. Społeczeństwo rozlicza malarza z kredytu zaufania, jakiego mu udzieliło i dlatego twórca jest odpowiedzialny za wartości nie tylko artystyczne, ale i społeczne.

K: — A więc równowaga między dwiema grupami wartości, które składają się na Pańską pracę?

E: — Ingarden zakłada trójwarstwowość dzieła sztuki, a konkretnie obrazu figuratywnego: treści przedstawieniowe, dydaktyczne i wyrażenie osobowości. Dla mnie zawsze najważniejsze było wyrażenie osobowości, ale z zaznaczeniem stosunku twórcy do świata. Bo twórca jest na pewno barometrem — odbiera bodźce i daje ich syntezę, pozbywając się przy tym zbędnego gadulstwa.

K: — Wychodząc z osobistych przemyśleń. Kandińsky bardzo prosto określił to wyrażenie osobowości i stosunek do rzeczywistości. Pozwoli Pan, że go zacytuję: *„Czuję coraz dokładniej, że wewnętrzna istota przedmiotu wypełnia formę. W moim wnętrzu dokonuje się coraz wyraźniej rozdział natury i sztuki, aż mogę każdą z tych rzeczy osobno obserwować dla niej samej"*. Zresztą to powszechne odejście od imitowania rzeczywistości zaznacza się w prawie każdej wypowiedzi znakomitych malarzy. By już rzecz była jasna, przytoczę słowa Szwajcara-Paula Klee, którego nazywa się poetą myślącym obrazami i który twierdzi, że *sztuka zawsze wychodzi poza przedmiot*, zarówno poza przedmiot rzeczywisty jak i wyobrażalny. Że prowadzi grę nieświadomą z rzeczami. Naśladuje więc nie sam przedmiot, lecz siły, które świat stworzyły i stwarzają. Stąd jej twórczy sens.

Edward Kieferling — „Twarz" (blacha)

E: — Stąd prawda sztuki. Prawda, oczywiście, bardzo subiektywna...

K: — Czy taka, która może stać się fałszem w rozumieniu społecznym jako prawda obiektywna?

E: — W rozumieniu społecznym może tak, ale na pewno nie w rozumieniu twórcy. Z chwilą kiedy ów wierzy, że daje syntezę przeżytej rzeczywistości, uogólnienie spraw nią powodujących, własne na nią spojrzenie, jest szczery. Zagadnienie tkwi raczej w tym, na ile ma rację. Ale tego nikt nie wie teraz. Na sprawdzenie racji pracuje czas.

K: — Przygotowałam na dziś obraz Chagalla. Chciałabym abyśmy mogli o nim mówić trochę, bo zawsze, wydaje mi się, bardziej zrozumiałe stają się nawet najmądrzejsze uogólnienia, kiedy poprzemy je konkretem. Wybrałam ten obraz, bo jest piękny, bo może budzić wiele nieporozumień, bo w prymitywnym rozumieniu można zarzucić mu gadulstwo literackie, niezrozumiałość, a przecież właśnie on może tak bardzo potwierdzać tezę, że sztuka nie jest odtwarzaniem rzeczywistości, ale wyrazem osobowości. Że sztuka rzeczywistość porządkuje. Poza tym wybrałam go nie z przypadku właśnie dla Pana, bo i w Pańskich pracach znajduję zbieżne z nim motywy i ten najważniejszy — liryczną ekspresyjność, nagromadzenie treści.

E: — To jest na pewno piękny obraz. Zbudowany na zasadzie kompozycji przekątniowej, gdzie detal podporządkowany całości właśnie eliminuje rzekome gadulstwo, gdzie kolor rządzi nastrojem, zawiera intencję działania kontrastami. Widać w nim najpierw rzeczy zasadnicze, a detal dopowiada myśl ogólną.

K: — Pan mówi na pewno prawdy oczywiste dla znawców; ale czy sądzi Pan, że taka interpretacja obrazu zbliża go do widza? Czy ten w dalszym ciągu nie pozostanie głuchy na treści w nim wyrażone? Mam zawsze tysiąc i jedno pytanie, kiedy dotkniemy relacji twórcy z odbiorcą. Czy nie istnieje możliwość prostszego komentarza, który wyrażałby cały nastrój obrazu wielkiego poety, jakim był Chagall? Powiada Pan, że detal dopowiada myśl ogólną, proszę ją nazwać.

E: — Myśl ogólna — to klimat wszystkich małych miasteczek, a Chagall jest malarzem, który rodzinny Witebsk eksploatuje bez przerwy w swej twórczości. To jest malarstwo tęsknoty.

K: — Świata, który zniknął, malarstwo rozliczania się z własną młodością.

E: — Bez tego świata nie mógłby istnieć jako malarz.

K: — I znowu nie powiedzieliśmy wszystkiego, i boję się, że ów niezrozumiały detal, którego pełno u Chagalla, gdzie fruwają osły, krowa gra na skrzypcach, dwie postacie mogą być jednością lub jeden człowiek się rozdwaja, a ludzie unoszą się w powietrzu — dalej pozostanie zamknięty dla wyobraźni odbiorcy.

E: — To jest zniżanie sztuki do widza, spłycanie jej. Obraz albo zadziwia szokiem, pięknem, albo pozostanie martwy do końca. Nie uda się Pani tego wytłumaczyć, bo wtedy musielibyśmy zrezygnować ze sztuki.

K: — Pan mnie zdumiewa. Jeżeli istnieje możliwość analizy sztuki w kategoriach estetycznych, którą na wstępie Pan dał, dlaczego nie może istnieć analiza, która byłaby progiem, lepiej — użyję słowa, które Pana na pewno zdenerwuje — przedszkolem do rozumienia wartości estetycznych. Przecież wszyscy zaczynaliśmy od zera i nikt tłumacząc nam jak narysować jabłko, nie zaczynał od podsuwania kubistycznych wzorów i szukania filozofii przedmiotu. Zaniżaniem sztuki byłoby tworzenie pod gust odbiorcy — nigdy nim nie będzie tłumaczenie obrazu, który już jest sztuką. Tu tłumaczenie nie tylko nic nie obniży, ale według mnie dopełni obraz.

E: — Sztuka powinna tłumaczyć się sama. Nie mogę zmienić zdania w tym wypadku.

K: — Nie jest Pan sentymentalny wobec odbiorcy i bałabym się powiedzieć, że wyczuwam nawet cień lekceważenia jego wysiłków, by zrozumieć rzecz trudną...

E: — Ma Pani rację, nie jestem sentymentalny, mam nawet bezceremonialny stosunek do widza; do sztuki zresztą też. Każdy malarz jest chirurgiem własnego obrazu: kraje, tnie, wrzuca do pieca, walczy z oporną materią. Widz przychodzi na wystawę i chciałby zobaczyć piękno, a powinien zobaczyć prawdę, która może go obrażać, bywa brutalna. Ja tak ją widzę często. Maluję dla własnej przyjemności i dla własnej przyjemności wypowiadam swoje zdanie i właśnie to zdanie powieszę na ścianie u Kotowicza w BWA. Mam do niego prawo. Ludzie, którzy zajmowali się sztuką, zawsze byli bardziej unerwieni i czuli niż przeciętny człowiek — może dlatego właśnie oni mają prawo wstrząsnąć widzem poprzez pokazanie własnej wizji rzeczywistości?

K: — Odbiegł Pan nieco od tematu: bezceremonialność w ukazywaniu prawdy, to nie znaczy to samo co bezceremonialny stosunek do widza. Wtedy i tylko wtedy znieść on może prawdę, jeśli ją rozumie, nie wtedy, gdy stoi w niemym zapytaniu co to wszystko znaczy i nie rozumie dosłownie nic — nie tylko Pańskiej prawdy. Mimo że zgadzam się z Panem do prawa wypowiedzi własnej prawdy, jestem nieprzejednana, jeśli idzie o sam proces, późniejszy zresztą, ułatwiania jej przekazu wszystkimi środkami, w każdym wypadku i jak tylko się da...

(Tu dyskusja była bardzo osobista i do meritum rozmowy raczej niczego nowego nie wnosząca; prawo do własnych sądów mieliśmy przecież oboje...).

E: — Namalowałem kiedyś synagogę w Jarosławiu: zawarłem w tym obrazie moje wszystkie przykrości związane z bojami o ten obiekt przeznaczony w przyszłości dla grupy malarzy „Jarosław". Ta synagoga, która przypomina ludzką czaszkę, pusta, zniszczona — to jest symbol, metafora, sprawa absolutnie subiektywna. Namalowałem obraz „Niespokojny rok", składał się z wielu detali podporządkowanych idei przykrych przeżyć minionego roku — szło o subiektywną syntezę tych przeżyć; namalowałem „Pogrzeb w Przemyślu", trochę właśnie pod Chagalla, brzydki, pompatyczny, satyryczny kondukt i wszędzie odpowiadam za to moje spojrzenie na świat; perspektywa czasu pokaże, czy miałem rację. Może nie miałem jej, ale któż to wie dziś?

K: — A więc komentuje Pan i to z jakim żarem! Myślę, że łatwiej byłoby oglądać te obrazy czytelnikowi, gdybym umiała przekazać ton, w jakim komentarz został podany!

E: — Wydarła Pani ze mnie to wszystko, jak wyznanie, a nie chciałem tego robić.

K: — I cieszę się z tego! Siła idei musi potwierdzać się w malarstwie, ale najpierw musi istnieć. W malarstwie liczy się przecież cała głębia wrażliwości i kultury, sposób życia i kochania, wyrażenie swobodne i spontaniczne życia wewnętrznego. W ten sposób z emocji rodzi się mit, który jest nową propozycją rzeczywistości. Materia, ruch, pragnienia, potrzeby, wszelkie potrzeby — są nieodłączne w tym procesie. Wielki poeta Eluard powiedział, że od natury rzeczy realnych do natury rzeczy wyimaginowanych jest granica przelotu ptaka z gałęzi na gałąź. Krótka więc ta granica, płynna i nieuchwytna. Wróćmy na spokojnie do Chagalla.

E: — Malował odchodzący świat, zarazem brutalnie i lirycznie, satyrycznie i z tęsknotą — malował stosunki międzyludzkie. Tworzył klimaty, czasem brzydkie klimaty, ale kotlet schabowy w gospodzie małego miasteczka też jest koszmarem, mimo to potwierdza klimat tego miasteczka, jest jego nieodłącznym detalem. W życiu jest miejsce na wszystko; na tragedię i groteskę też. Chagall to czuł.

K: — Powiedzieliśmy — był poetą, a to przecież nie jest zakazane malarzom. Przekształcał pamięć wrażliwą z pejzażów dzieciństwa na okrutną walkę, bo rzeczywisty w sztuce — mówił — jest stan duszy, który ludzie czasem nazywają literaturą, brakiem logiki, a czasem źródłem czystości. Nie wierzył w symbole, legendy, ale w aluzję, która stworzyła rzeczywistość. Anektował świat aniołów, ludzi, zwierząt i mieszał je jak w sennym widziadle w aluzyjną współczesność.

E: — Tak wierzył Picasso w kolor. Przecież między błękitem a czerwienią jest jakiś dramat, bo pierwszy wyklucza drugą, a oboje chcą istnieć. Okres błękitny u Picassa, jego cyrkowcy, potwierdził szukanie kolorem tragedii, a okres różowy, który operował różem okrutnym, działającym makabrycznie, mówi więcej o wadze koloru w malarstwie niż tomy dzieł na ten temat. Wszystko zaś razem doprowadziło twórcę do obrazu zatytułowanego „Dziewczynka z piłeczką", gdzie następuje ukojenie, bo została osiągnięta harmonia między różem a błękitem.

K: — Jest Pan dyrektorem Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu; zdradza Pan młodym zawiłości warsztatu i estetyki — jak oni reagują na sztukę?

„JA I WIEŚ" — MARC CHAGALL:

„Ja zawsze uważałem clownów, akrobatów i aktorów za istoty tragicznie ludzkie, które mi przypominały niektóre obrazy religijne. I nawet dzisiaj, kiedy maluję te obrazy religijne odczuwam te same sensacje, których doznawałem malując ludzi cyrku, a jednak... bardzo trudno wyjaśnić, dlaczego znajduję podobieństwa psycho-plastyczne między tymi dwoma rodzajami kompozycji".

E: — Myślę, że cel mój sprowadza się do rozwijania w nich wrodzonych dyspozycji psychicznych; wszyscy nie będą artystami na pewno, ale też na pewno wszyscy będą znakomitymi odbiorcami sztuki. Mają bakcyla sztuki.

K: — A gdzież tu miejsce w takim razie na bezceremonialność wobec odbiorcy? Coś to nie tak, Panie Edwardzie. Zaczynam powątpiewać w bezwzględność Pańskiego poprzedniego sądu.

E: — Nowa kłótnia?

K: — Nie. Raczej zupełnie optyczne zakończenie!

Rozmawiali:

EDWARD KIEFERLING
i
KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Próba liryczności

Wbrew tytułowi tego tomiku sugerującemu geometryczną oschłość w „Próbie elipsy" Tadeusza Piekło przeważa żywioł liryczny. Żywioł, gdyż jak na debiutancki tom wierszy przystało jeszcze nie ujarzmił poeta swych wzruszeń w określoną konwencję formalną, która nadawałaby jednolity charakter całemu zbiorkowi. Nie skierował również swych zainteresowań poetyckich w jednym kierunku, nie ograniczył źródeł swoich inspiracji twórczych. Stąd w tomiku wiersze o tradycyjnych środkach warsztatu i obrazowania, z ładnie dźwięczącą retoryką o wyraźnym post skamandryckim rodowodzie i wiersze spod znaku Przybosia, o dużej dynamiczności obrazu i kondensacji słowa. Dostrzec można wpływ „turpistów" z ich zafascynowaniem brzydotą i procesami rozkładu oraz ślady poetyki Różewicza. Wystarczy zestawić obok siebie fragmenty poszczególnych wierszy, by to stało się oczywiste:

...„jesteś rytmem mych doznań spęczniałych od rosy
z ciebie czas mój rozpina
urodzaj urody
rozchyla się przez ciebie ku
mnie woń pogody
słońcem gałązką deszczu
wpiętą w włosów dosyt..."

* * *

Ten wiersz wyraźnie Staffowski w klimacie i sposobie widzenia świata nie jest w zbiorze jedyny. W tej samej konwencji formalnej jest utrzymany wiersz „Przemyśl — ulica Słowackiego" czy „Nadejście jesieni".

Natomiast w wierszu „Wejście w noc", gdy poeta powiada:

...„dopełniają się ucieczki
świętych, rannych i dziennych
liście
w spróchniałym locie
zastygają żagliście
kiełkują gwiazdy".

słyszymy wyraźnie ton Przybosia. I wreszcie chyba bliskie poezji Grochowiaka są takie zwroty:

...„w tej zardzewiałej od księżyca porze // rdzewieją w ciszy metale // kościec konstrukcji przyziemnych i wzniosłych // broń i narzędzia i krzyże cmentarne... łączą się z sobą Ziemia Woda Ogień // w harmonii znowu przywracając szor[illegible] kość // rzeczom zbyt gładkim kszt[illegible] tom nazbyt ludzkim..." gdzie i[illegible] dziej *...„biało drgają dróg mięśn[illegible] poskręcane w męce"... lub ..."ząb[illegible] ząb tam // paznokcie w śmieci[illegible] włosy też // rozsypane i gni[illegible] ce // ja — kruche i przemijające*

Różne bywają także, jak wyż[illegible] powiedziałem, źródła wzruszeń [illegible] kontemplacji lirycznej Piekły. Kr[illegible] obraz urbanistyczny i bukoliczn[illegible] impresje, zaduma nad sprawan[illegible] egzystencji człowieka i lęk prze[illegible] przemijaniem, przed wrogą obcośc[illegible] rzeczy... Ale we wszystkich wier[illegible] szach zbiorku widać pasję i zaang[illegible] żowanie poety — dostrzega się wy[illegible] raziste „ja" liryczne. Tu nie m[illegible] chłodnych spekulacji intelektua[illegible] nych ani wykoncypowanych pomy[illegible] słów poetyckich.

Zbiorek jest zbyt mały objętościc[illegible] wo, by można było sobie pozwol[illegible] na zbyt daleko idące uogólnien[illegible] lub wróżby na przyszłość. Możn[illegible] jedynie stwierdzić, że niezależnie [illegible] wszystkich poszukiwań formalnyc[illegible] poety, od prób znalezienia swe[illegible] własnej drogi poetyckiej wszystki[illegible] wiersze tomiku cechuje duża kultu[illegible] ra poetycka i dojrzałość warsztato[illegible] wa. Nie ma tu ani jednego wiersz[illegible] nieporadnego, niedopracowanego. Aż by się czasem miało ochotę za[illegible] protestować przeciw tej nienagan[illegible] ności i gładkości. Nic dziwnego [illegible] Tadeusz Piekło debiutował w rok[illegible] 1957 w „Nowinach Rzeszowskich" i od tego czasu publikował wiel[illegible] wierszy w czasopismach literackich [illegible] w almanachach, zdobywał sporo na[illegible] gród na ogólnopolskich konkursach [illegible] poetyckich (m. in. II nagroda w [illegible] „I łódzkiej wiośnie poetów") — dzię[illegible] ki temu zdobył bardzo dobrą spraw[illegible] ność rzemiosła poetyckiego. Mimo [illegible] iż zamieszkały w Przemyślu bierze [illegible] także żywy udział w działalności [illegible] młodego środowiska literackiego w [illegible] Rzeszowie. Ogłaszał często swoje [illegible] wiersze w „Widnokręgu" i na ante[illegible] nie Polskiego Radia. Należy oczekiwać, iż drugi z kolei tom wiersz[illegible] poety, który znajduje się już w wy[illegible] dawnictwie bardziej zdecydowani[illegible] określi drogę poetycką Tadeusz[illegible] Piekły. Pozostanie bez zmian (mam[illegible] nadzieję) zaangażowanie i pasja li[illegible] ryczna poety.

Tadeusz Piekło „Próba elipsy" Lublin 1966, Wydawnictwo Lubelskie.

NOWE KSIĄŻKI

POETYCKA OPOWIEŚĆ O WOJNIE I OKUPACJI

Tematyka okupacyjna ciągle jeszcze, po 20 latach stanowi przedmiot zainteresowań wielu polskich pisarzy współczesnych. Świadczą o tym liczne powieści, dramaty i utwory poetyckie w najnowszej twórczości literackiej, oparte o wydarzenia II wojny. W miarę jednak upływu czasu, zanikają u twórców tendencje do budowania realistycznego dokumentu z walki i cierpień narodu. Zaciera się ostrość i wyrazistość obrazu, konkretność realiów historycznych na rzecz metaforyczności, zdeformowanych uogólnień filozoficznych czy atmosfery przypowieści moralnej.

Nowa powieść wybitnego poety i prozaika Tadeusza Nowaka „Takie większe wesele", również ukazuje obraz wojny i okupacji w sposób nietradycyjny i nieprzeciętny. Autor ogląda wojnę przez pryzmat spojrzenia prymitywnego chłopca wiejskiego, pomylonego pastucha, „nawiedzonych" maniaków i żebraków, w opłotkach jednej nadwiślańskiej wsi. Niedorostków wiejskich fascynuje problem zabijania, problem wojny jako zbiorowego „opętania" ludzi. Zabijanie znali tylko jako krwawe wiejskie porachunki na weselach. Czyżby wojna to takie większe wesele? Marzą o broni, by przez swój udział w zabijaniu poznać jego tajemnicę. Dramatyczne wydarzenia na wsi przeżywają w wymiarach historii z pogranicza snu, wizji i jawy, nie mieszczą się bowiem w ich doświadczeniach i wiedzy o świecie. W powieści nie brak bardzo autentycznych scen i realiów z życia wsi z okresu okupacji, ale pisarz nadaje im funkcję symboliczną i wieloznaczną. Dzięki temu uzyskuje daleko posuniętą metaforyzację rzeczywistości i zagęszczony klimat poetycki. Powieść, oparta na przeżyciach zaczerpniętych z autobiografii autora, co nadaje jej, mimo poetyckich deformacji, walor niekłamanej autentyczności, jest lekturą trudną, ale w serii książek o tematyce okupacyjnej stanowi pozycję oryginalną i odkrywczą artystycznie.

Tadeusz Nowak: „Takie większe wesele" — Wydawnictwo Literackie. Kraków — 1966.

KSIĄŻKA O LOSACH PIELGRZYMÓW

Nowa książka Jerzego Zawieyskiego, która ukazała się niedawno na półkach księgarskich, jest pełną uroku i erudycji powieścią historyczną o polskiej emigracji po roku 1831. Powieścią osobliwą, gdyż prawie wszystkie jej postacie są autentycznymi i bardzo znanymi postaciami historycznymi. Pisarz wprowadza nas w samo sedno działań poetów emigracyjnych, polityków, emisariuszy, walczących uparcie o wolność swego kraju ,wszędzie tam, gdzie ludy Europy walczyły o wolność. Zbliżenie do czytelnika tej epoki jest tak sugestywne, iż wydaje się, że żyjemy wśród tych ludzi i spraw, i uczestniczymy w kształtowaniu się historii.

Jerzy Zawieyski ukazuje atmosferę i genezę mistycyzmu francuskiego i polskiego, kulisy intryg politycznych wokół legionu polskiego we Włoszech i w Turcji, walki programów i stronnictw emigracyjnych, oddaje wspaniały hołd rodakom zaopatrzonym w „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego i zostawiających w pielgrzymich wędrówkach do wolności groby z wieńcami z wawrzynu i cyprysu po polach bitewnych Europy. Powieść stanowi kopalnię wiedzy o Wielkiej Emigracji, a równocześnie urzeka osobliwym klimatem romantyzmu. Dzięki subtelnej i trafnej stylizacji językowej książki doznajemy przy lekturze nieodpartego wrażenia, iż czytamy autentyczne pamiętniki naocznego świadka tamtej epoki.

Jerzy Zawieyski — „Wawrzyny i cyprysy". Czytelnik. 1966.

J. G.

Rekrutacja

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Władze szkolne pozostają pod ustawiczną presją zarówno społeczeństwa jak i różnych instytucji czy nawet władz terenowych. Napływają petycje o tworzenie nowych szkół, często właśnie techników, chociaż w danej miejscowości poza kandydatami na uczniów nie ma ani kadry nauczycielskiej, ani bazy lokalowej. Mnożą się również protesty przeciw ograniczaniu naboru do szkół, których absolwenci nie mogą znaleźć zatrudnienia w wyuczonym zawodzie.

Przekroczenia planów przyjęć do techników były spowodowane zarówno ambicjami władz lokalnych jak i presją społeczeństwa. Temu należy przeciwdziałać. Uwzględniając dysproporcje między kształceniem techników i robotników kwalifikowanych, Ministerstwo Oświaty wprowadziło dość istotne korekty planów. Np. w Rzeszowskiem z projektowanych 54 oddziałów klas pierwszych techników pozostało 34. Generalnie rzecz biorąc, decyzje Ministerstwa są słuszne, jednak zdaniem działaczy oświatowych, Rzeszowszczyzna zbyt dotkliwie odczuła zmniejszenie planu. Perspektywiczne potrzeby województwa w tym zakresie są o wiele większe.

Nadmierna popularność pewnych typów szkół rodzi różnego rodzaju naciski; na przykład o przyjęciu nie zawsze decyduje wynik egzaminu czy przydatność kandydata do danej szkoły. Ale jeśli nawet przyjmiemy, że z każdej trójki kandydatów do techników wyłoniony będzie rzeczywiście najzdolniejszy, to i tak dwóch pozostałych odejdzie z poczuciem krzywdy. Jakie jest więc wyjście? Nie zamierzam bynajmniej apelować do rodziców, by poskramiali ambicje swoje i swych dzieci. Nie chcę ich także przekonywać, że gospodarce narodowej potrzebni są nie tylko technicy, że przedsiębiorstwa czekają również na robotników wykwalifikowanych w różnych specjalnościach. Trzeba natomiast przekonać ich, że młodzież powinna podejmować naukę zgodnie z zainteresowaniami i uzdolnieniami.

Już od dawna wyłania się konieczność zmiany dotychczasowego systemu selekcji kandydatów. W miejsce tradycyjnego egzaminu b[illegible] dącego w wielu wypadkach swe[illegible] rodzaju loterią należy wprowadzi[illegible] k i e r o w a n i e młodzieży d[illegible] określonych typów szkół. Zastąpie[illegible] nie egzaminu kierowaniem wymaga[illegible] m. in. rozbudowy sieci poradni wychowawczo-zawodowych oraz stworzenia szczupłej i przepracowane[illegible] kadrze tych placówek, odpowiednich warunków pracy. Nie egzamin[illegible] z towarzyszącym mu zdenerwowaniem, lecz rozmowa kandydat[illegible] z pedagogiem i psychologiem po[illegible] łączona z badaniami lekarskim[illegible] winna decydować o kierunku dal[illegible] szej nauki. Doświadczenia wykazu[illegible] ją, że młodzież, która przeszł[illegible] przez te badania, z reguły osiąg[illegible] wyższe wyniki w nauce.

Ale jak już wskazywałem prz[illegible] innej okazji, upowszechnienie ba[illegible] dań psychologicznych wymaga n[illegible] tylko rozbudowy sieci poradni; ni[illegible] zbędne jest także docenianie te[illegible] rodzaju usług ze strony szkół i t[illegible] renowej administracji szkolnej.

Warto także zastanowić się n[illegible] zmianą metod informacji o kieru[illegible] kach kształcenia. Wysuwany je[illegible] często pod adresem prasy postul[illegible] propagowania kierunków niepopu[illegible] larnych. Czy skuteczne są jedn[illegible] sezonowe apele o podejmowa[illegible] nauki w danej szkole czy ty[illegible] szkół? Potrzebna jest wszechstron[illegible] i rzeczowa informacja; niejedn[illegible] krotnie zainteresowani nie wie[illegible] co właściwie kryje się za naz[illegible] jakiejś specjalności. Np. zawód [illegible] wala, kojarzący się z ciężką pr[illegible] fizyczną, nie jest obecnie popul[illegible] ny. A tymczasem kowal w nicz[illegible] nie przypomina już tradycyjn[illegible] siłacza, to raczej specjalista w [illegible] kresie plastycznej obróbki me[illegible] na gorąco. Można przytoczyć sp[illegible] innych przykładów; rozwój techn[illegible] przynosi technologiczną śm[illegible] wielu zawodom, na ich miejsce [illegible] wstają nowe. Potrzebna jest w[illegible] wszechstronna informacja. Widoc[illegible] nie jest ona niewystarczająca sk[illegible] redakcje są zasypywane list[illegible] młodzieży i rodziców.

Wspomniałem, że ambicje n[illegible] dzieży i rodziców wzrastają; [illegible] popularność pełnych szkół średn[illegible] większy prestiż techników ani [illegible] zasadniczych szkół zawodow[illegible]

WŁADYSŁAW DZIUBAN — działacz społeczny, pracownik Przedsiębiorstwa Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch" w Rzeszowie

RYS. J. SIENKIEWICZ

Plastycy — szkołom

Już kilka szkół pomników Tysiąclecia w województwie rzeszowskim zdobią obrazy i grafiki — dary plastyków. Akcja przekazywania trwa. W Domu Sztuki w Rzeszowie Komitet Roku Plastyki dla Szkół Tysiąclecia, Związek Polskich Artystów Plastyków i Biuro Wystaw Artystycznych czynią przygotowania do wystawy następnych prac, które zostaną przekazane kolejnym Tysiąclatkom. Otrzymają je szkoły Tysiąclecia w Szebniach, powiat Jasło i Żyrakowie, pow. Dębica. Na ekspozycję, która będzie wystawiona w salach wystawowych BWA od 1 kwietnia br. składają się obrazy i grafiki warszawskich i rzeszowskich artystów, którzy bezinteresownie przekazali każdej z wymienionych szkół zestawy liczące po 12 prac. Zostaną one niewątpliwie z wdzięcznością przyjęte przez uczniów wymienionych szkół.

Fot. M. KOPEĆ

Zdarzenia tygodnia

12 i 13 bm. odbyło się w ZDK WSK w Mielcu 6 z kolei i ostatnie szkolenie na kursie teatralnym stopnia podstawowego dla wiejskich instruktorów teatralnych z powiatów Tarnobrzeg, Mielec, Kolbuszowa i Nisko, na którym omówiono scenograficzne opracowanie małych form scenicznych (estrady poetyckiej i rozrywkowej) oraz rolę muzyki w widowisku.

Podsumowaniem szkolenia będzie egzamin, który się odbędzie 16 kwietnia w Mielcu. Na jego podstawie instruktorzy otrzymają uprawnienia do starania się o kartę instruktora teatralnego IV kategorii.

* * *

W czwartek odbyło się posiedzenie działającego przy WKZZ Wojewódzkiego Komitetu Organizacyjnego Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych.

Na zebraniu, któremu przewodniczył sekretarz WKZZ mgr Józef Woźniak omówiono dotychczasowe przygotowania do festiwalu, powołano sekcje problemowe, zatwierdzono terminarz przeglądów okręgowych oraz dokonano wstępnego podsumowania wyników konkursu „Bliżej książki współczesnej".

* * *

W dniu 17 bm. odbyło się plenarne posiedzenie Zarządu Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, na którym omówiono dotychczasową działalność i zamierzenia na przyszłość. W posiedzeniu wzięli udział przewodniczący oddziałów z terenu województwa oraz przedstawiciele do Zarządu Okręgu.

* * *

W przemyskim Domu Kultury odbyła się w dniach 9—11 bm. kursokonferencja dla kierowników powiatowych i zakładowych domów kultury i klubów fabrycznych poświęcona omówieniu czynników warunkujących działalność placówki kulturalno-oświatowej.

Uczestnicy zajęć spotkali się z członkami zespołu Towarzystwa Dramatycznego „Fredreum" oraz zapoznali się z działalnością Międzyzakładowego Klubu „Niedźwiadek" oraz przemyskiego Domu Kultury.

Impresje bieszczadzkie

Pamiętasz dziewczyno z letniego obozu, że gdy nocą wsparta na ramieniu swego chłopca wracałaś z dalekiego spaceru, z oparów mgły, tuż obok was wyłonił się poczciwy koński łeb?

O, nie mów, że ustąpił wam z drogi — to wy go obeszliście a on stał w miejscu, lub wolno postąpił za wami parę kroków.

Ten koń nigdy nie chodzi szybko; zobaczyć konia w kłusie — to tutaj taka sama gratka, jak w dużym mieście leśną zwierzynę na ulicy. Zdarzają się jednak takie przypadki i tu i tam.

Pamiętam pewnego razu, gdy góry okrywała jeszcze szczelnie poranna mgła, a wszyscy z natężeniem wypatrywali czy opadnie na ziemię, czy też uniesie się w górę (drugi wypadek oznaczał deszcz), pod namiotem letniej restauracji grupka turystów pochylona nad dymiącą gorącą kiełbasą — śpiesznie szczękała nożami, aby przypadkiem nie spóźnić się na Tarnicę, lub Halicz.

Obok, kilka stolików obsiedli miejscowi drwale, pomieszani z tymi co budują drogi i góralami — bez pośpiechu pili poranne piwo, tu i ówdzie sterczała ponad stolikiem butelka Cherry Brandy, tej najtańszej, dostępnej tutaj wódki.

I oto przed knajpą zjawiła się kobyła. I to jaka kobyła! Szeroka wprawdzie w piersiach i zadzie, jak wszystkie tutejsze konie, ale okulała, z żebrami na wierzchu, nędzna. Nigdy jej do tamtąd nie widziałem i podejrzewam, że to sam los zesłał ją, abym o koniach napisał. A tak naprawdę przypuszczać należy, że jej właściciel machnął ręką na kilkusetzłotowy zarobek i urządził jej odpoczynek.

Jakiś dowcipniś dosiadł szkapy i poganiając kawałkiem łamiącego się na jej grzbiecie chrustu — zmusił do wejścia pod restauracyjny namiot.

Bije konia! — zaszemrało ze zgrozą i oburzeniem ze strony przyjezdnych, a wtórował śmiech miejscowych, którym w głowie nie mogło się pomieścić, że ktoś może mieć tak absurdalne pretensje — skoro szykuje się świetna zabawa. Przecież na co dzień — gdy nie mogą uciągnąć, wali się konie widłami, skąd więc krzyk o marną gałązkę?

I rozdźwiękiem skończyło się to wspólne śniadanie w letniej restauracji. Oburzeni turyści ruszyli w góry — miejscowi, jako że akurat po wypłacie — rozpoczęli następne piwo.

Nie było bowiem w knajpie nikogo, kto by wstał i powiedział:

— „Koń, proszę państwa, to poczciwe zwierzę, przy pomocy którego ściąga się z miejsc niedostępnych maszynie, potężne niekiedy kloce ściętych drzew. Koniom pomaga człowiek uzbrojony w pokaźnych rozmiarów kij, bowiem wieloletnie doświadczenie wskazuje, że bat jest narzędziem mało skutecznym. Konie dzielą się na konie prywatne i konie państwowe — mieszkające w parkach konnych. Konie państwowe częściej giną od koni prywatnych, bo nikt nie widzi jak je tłuką w lesie furmani... itd., itd., itd."

Pamiętacie piękne opowiadanie Vercors'a o wojskowych koniach zamkniętych w olbrzymiej stajni?

Wystraszone, zamieniły się w ogromny, widmowy prawie tabun pędzących ku samounicestwieniu.

Koń bieszczadzki — choćby go przypiekano, zwiesi jedynie łeb i postąpi parę kroków.

redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5, Telefony: 2856, 2857 — wewn. 238 Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.